

PION

CENA 50 GR

ROK VI NR 32 (253)

WARSZAWA

14 SIERPANIA

1938 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TRZĘC

JAN BOLESŁAW OŻÓG — LESZEK
FRANCISZKA ARNSTAJNOWA — ŻYWE KORALE RZUCAŁA W WODĘ
MARIAN PIECHAŁ — O SANDOMIERSZCZYŹNIE
M. J. WIEŁOPOLSKA — ALITERACKA LITERATURA
MICHAŁ LERMONTOW — DEMON

WITOLD HULEWICZ i TYMON TERLECKI

SPÓR O ŻELAZOWĄ WOLĘ

Tymon Terlecki: Słyszałem, panie Witoldzie, że pan nie podziela moich zapatrywań na obecny wygląd Żelazowej Woli, wyrażonych w artykule drukowanym w lecie na łamach Pionu¹.

Witold Hulewicz: Nie tylko nie podzielałem, ale przeczytawszy artykuł zapalałem namiętną chęcią przeciwstawienia się panu...

T. T.: No i nadarzyła się okazja! — Proszę, możemy podyskutować. Cóż to taki sprzeciw w panu wywołało?

W. H.: Chyba wszystko: i przesłanki i wnioski. Bo widzi pan, miałem okazję oglądania miejsca urodzenia Chopina w roku 1915, w latach wojennego zniszczenia. Wojna oszczędziła ten zakątek. Parterowa oficyna wyglądała nędznie, park był zarosnięty i zaniedbany, ale miało to sporo romantycznego uroku. Rzeczka Utrata wyla się malowniczo i dość bagnisto przez park, nad nią zwisały gałęzie wierzb, słychać było rechot żab i śpiew słowików. Można było podumać w cieniu kasztanów i doskonale wyobrazić sobie panią Mikołajową Chopinową, przechadzającą się z mężem na tych zaściankowych ścieżkach.

T. T.: Jak pan wie, zapadło to wszystko zaraz po wojnie w ruinę. Teren rozparcelowano, w oficynie szopenowskiej mieszkali w połowie chłopci, a w drugiej połowie był chlewik. Domek zmierzał do zupełnej zagłady. Parku nie pozostało prawie śladu. Na miejscu pogorzeli i barbarzyńskiego karczunku były orne pola...

W. H.: Tak, wiem to. Znam również chwalebny i energiczny akcję Komitetu Dni Chopinowskich, który zebrał wielkie środki finansowe, wykupił oficynę i teren parku z rąk chłopskich — i postanowił urządzić tu godne sanktuarium narodowe. Dotąd wszystko bardzo pięknie. Dopiero sposobów, w jaki odbudowano Żelazową Wolę, wywołuje dyskusję i w tym punkcie mam zamiar zaatakować pana.

T. T.: Otóż „sposób”... Niech pan pozwoli, żebym określił moje stanowisko, może bardziej konkretnie, niż to zrobiłem w tamtym czysto impresyjnym artykule. Uważam, że obecny charakter parku w Żelazowej Woli jest uwarunkowany jego przeznaczeniem. Jest to park-pomnik, jest to coś podobnego jak kościół wysoko wzniesiony nad miejscem cudu, nad miejscem urodzenia świętego. Jest to w mowie architektury ogrodowej, jej środkami wysłowiony hold nowoczesności dla jednego z największych geniuszów muzyki światowej. Tu jest zasadniczy moment: ogród-pomnik, „pomnik z

drzew i kwiatów”, jak pięknie powiedziała Wanda Melcer². A pomnik w dzisiejszym pojęciu to jest — przynajmniej powinien być — możliwie najpełniejszy, najwyższy wyraz twórcy epoki w jakiejś dziedzinie sztuki, składany u stóp drugiej epoki. Nie zawsze tak myślamo. Tworzono pomniki „stylowe”, w „stylu” epoki, w „stylu” człowieka, którego się czciło. Ile jest pomniki, kłamstwa i niewątpliwie brzydoty w takim „pastiche’u”, dowodzi pomnik właśnie Chopina w Warszawie...

W. H.: Który nie jest wyrazem stylu Chopina, co do tego z pewnością się zgodzimy. Otóż twierdzę, że dzisiejszy park w Żelazowej Woli jest wyrazem dzisiejszego stylu, a nie stylu — najgłębiej pojętego stylu... Chopina. Można by, odpowiadając na pańskie fachowe uwagi o istocie pomnika w pojęciu dzisiejszym, zakwestionować z punktu ową przyjętą zasadę: czy słusznie postanowiono stworzyć w miejscu urodzenia Chopina pomnik-ogród. Moim zdaniem nie słusznie. Na odbudowę oficyny w jej pierwotnym, według wszelkich danych, stanie — zgoda. Ale już najbliższe jej otoczenie, a tym bardziej cały nowy park — wprowadza nas w świat obecny, estywny, piękny w swoim rodzaju, ale egzotyczny, nie z Chopinem i jego cudowną muzyką nie mający wspólnego. Pisał pan, panie Tymonie, że wartością ogrodniczej koncepcji twórcy ogrodu, prof. Polkowskiego, jest na przykład: „zuchwale zestawienie kolorów, skupienie tysięcy drzew, kwiatów, których nazwy pan nie zna...” że to jest „klejnot nowoczesności ostry, wyrafinowanej...”

T. T.: Nie jestem botanikiem i nie pisałem analizy ogrodniczej dzieła profesora Polkowskiego!

W. H.: Ale mówi pan sam, że ten artykuł był impresyjny — i te zacytowane przeze mnie określenia trafnie charakteryzują tę pańską impresję. Wobec takiej poetyckiej definicji parku pytam: co to ma wspólnego z Chopinem?

T. T.: To jest problem, który ma dwie strony. Najpierw trzeba sobie powiedzieć, co się myśli o Chopinie, za co się go uważa, a następnie, jak — w związku z tym — możemy go uczcić, jeśli postanowiliśmy wnieść park-pomnik. Otóż co do pierwszej kwestii: Ani myślę przeczyć, że Chopin różni się z podłoża polskiego, ale myślę szczerze, że umniejsziliśmy Chopina gdybyśmy go usiłowali w nim zamknąć. To nie był salonowy mazurek, sielankowy muzykant, który słuchał rechotu żab i fujarek pastuszych, to był olśniewający artysta, nowator, rewolucjonista.

W. H.: Nikt temu nie przeczy!

T. T.: Z tej oficynki, do której nareszcie możemy zejść, w której nareszcie możemy myśleć o dziwnych wyrokowaniach losu — wyrósł na całą Europę, nie przestając

być polskim stał się europejski, tłumaczył się, wysławiał się po europejsku i dlatego był i jest i będzie zrozumiały każdemu należącemu do kultury europejskiej.

W. H.: Wyważa pan otwarte drzwi.

T. T.: Niestety, trzeba wyważyć, bo ten argument o sielankowej polskości Chopina był najczęściej wytaczany przeciwko artystycznej koncepcji parku w Żelazowej Woli. Co do drugiej kwestii: tego Polaka-Europejczyka, tego najbardziej europejskiego artystę, jakiego ziemia polska wydała, chcemy uczcić pomnikiem-ogrodem. Czyż nie powinien to być ogród europejski w stylu, w charakterze?

W. H.: Powinien — nie powinien, ale w każdym razie nie musiał.

T. T.: Właśnie musiał być, bo nie ma i nie było polskiego stylu ogrodowego, nie ma i nie było odrębnego typu polskiego w monumentalnej architekturze ogrodowej. Wtedy, kiedy żył Chopin, przeżywałmy przelom imiowany przez sławnego ogrodnika Kluka i samą jasnie panią Czartorską, założycielkę Puław — przelom od ogrodu francuskiego, klasycznego, do ogrodu angielskiego, romantycznego, zwanego ówczesnie „sentymentalnym”. Księżna pani piła pod tym tytułem pracę dyletancko-nacjonalną, a Potocki zakładał „Zofiówkę”, na natchnienie dla Trembeckiego, przeciw mistrza Mickiewicza. Nie byłoby racji wracać do tamtego stylu, bo według mnie nie ma racji wracać do żadnego stylu, jeśli to nie jest jakimś głęboko uwarunkowanym pędem ogólnokulturalnym. Nie byłoby racji i dlatego także, że styl angielski był mocno... zachwieszony. Swobodnie planowane, fantazyjne, nastrojowe widoki ogrodu w takim stylu przetrwały rozmaite poetyckie pawiloniki, zająca, urny, ruiny, które by dziś budziły nastrój odwrotny, niż wtedy. A tego okropnego „Pretzelstilu” — stylu obwarzanka, pełno jeszcze po naszych parkach i ciągle się jeszcze na hańbę naszego zacofania w nim komponuje nawet nowe parki. Jeśli mielibyśmy wznosić ku czci Chopina ogród-pomnik, była tylko jedna droga: europejskie uczynić polskim. Tak się stało: pomyślał go polski niepospolitej miary artysta, stworzył go według nakazów swojej artystycznej rasowości i *rasowości tej ziemi*.

W. H.: Powiedział pan wielkie słowo: rasowość tej ziemi. To słowo będzie mi bardzo pomocne. — Odpowiadam na pańską uczony wywód o stylu parków. (Bo co do definicji Chopina, jako Polaka-Europejczyka — nie ma między nami różnicy zdań). Zgadza się, że polskiego stylu monumentalnego parku nie było i nie ma. Ależ ja wcale o ten nie istniejący styl nie walczę! Chodzi mi o to, co pan kilka razy powtarzał, że mielibyśmy wznosić właśnie w Żelazowej Woli ogród-pomnik. Dlaczego „mielibyśmy”? Atakuję właśnie tę decyzję. Uważam, że wcale

nie „mielibyśmy”, że do tego było predystynowane każde miejsce, ale nie Żelazowa Wola. Gdyby postanowiono założyć wielki park w Warszawie, w tym właśnie stylu, i nazwano go imieniem Chopina — zgoda! Gdyby Żelazowa Wola była miejscem urodzenia wielkiego wynalazcy lub inżyniera, człowieka XX wieku — doskonale! Ale miejsce urodzenia Chopina, właśnie Chopina, geniusza, który należał do całego świata, nie stracił nic na swoim jasno sprecyzowanym charakterze rasowym, swoim własnym stylu...? To pan przecież, panie Tymonie, użył pierwszy słowa „rasowość tej ziemi”. I użył pan tego słowa, aby uzasadnić celowość zbudowania na wsi mazowieckiej, w kolebce szopenowskich Mazurków i Polonezów — *taliego* parku? Przecież to jest bogata willa bankiera pod jakimkolwiek kosmopolitycznym miastem, to siedziba gwiazdy filmowej — to Kalifornia!

T. T.: Kalifornia: dlaczego Kalifornia?! Jablonie pochodzą z Persji... Dęby wywodzą się z Syberii. Wieś mazowiecka jest może najbardziej charakterystyczna z pól kartofli, które są płodem Ameryki, a dziś stanowią najbardziej dobitną nutę pejzażu Mazowsza...

W. H.: Wolne żarty, panie Tymonie! Musimy się porozumieć, że nie tego bronie, aby park w Żelazowej Woli obsadzony był... kartoflami. Jablonie z Persji, dęby z Syberii, inne drzewa z najróżniejszych części świata. Przecież nie o to chodzi. Chodzi o te drzewa, które tworzą harmonijne akcenty w pejzażu, a nie kłóca się z nim; powiedzmy o te, które zrosły się z ziemią, których tylko w ciągu ostatnich paruset lat. Pan wyciął odmiany najbardziej egzotycznych roślin. Słyszałem, że gdy je sprowadzano tu do powiatu sochaczewskiego, znaczna ich część zmarlała w naszym klimacie, nie przyjęła się; gdybym chciał być odrobinę demagogiczny, powiedziałbym, że ziemia mazowiecka nie przyjęła tych obcych przybyszów, nie przynależała się do nich.

T. T.: Owszem, może pan być demagogiczny, panie Witoldzie. Otóż zawsze nie przyjmuje się pewien procent roślin. Najtrudniej przyjmują się siewaki, np. leszczyna, świerki, zwłaszcza wyjęte ze środowiska macierzystego, a że w Żelazowej Woli mogło się coś nie przyjąć, to po pierwsze trzeba wziąć pod uwagę, że jest grunt mazowiecki bardzo żwy, po drugie, że drzewa i krzewy w ilości blisko 10.000 pochodzą z ofiar, z darów. Wszystko w Żelazowej Woli pochodzi z naszych polskich szkółek, nie z zagranicy; nie ma tam nic, co by nie było w Polsce dawno zaaklimatyzowane.

W. H.: Większość to jednak rośliny, choć z polskich szkółek, ale duchem polskiej ziemi obce! Powiedział pan w swoim artykule, że ogród ten jest podobny trochę do muzyki... atonalnej. Przynajmniej — i pytam:

¹ Nr 202, z 19 sierpnia 1937 r.

² Wiadomości Literackie nr 722, z 5 września 1937 r.

czy wolno nam tak bezcerebralnie zadawać kłam istocie stylu szopenowskiego? Czy *genius loci*, styl krajobrazu, duch przyrody i klimatu — nie mają tu nic do powiedzenia? Niczym nie obowiązują architekt-ogrodnika? Czy wyobraża pan sobie, że chcąc odbudować Zaoście pod Nowogródkiem, mielibyśmy prawo zalać tam ogród z cyprysów, migdałów, klonów amerykańskich, japońskich wiśni, srebrnych oliwników, ponaszać heliostrobów, kaktusów, magnolii, aby tak „uścić” miejsce urodzenia Mickiewicza? Przypominamy sobie, co o krajobrazie rodzimym mówi tenże Mickiewicz:

Pan Tadeusz kręcił się...
 Aż gdy zaczęto słać cudzoziemskie gaje
 I wylizac z kolei wszystkich drzew rodzaje —
 Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały,
 Kaktusy, aloesy, mahonie, sandaly...
 Cytryny, bluzes, orzechy włoskie, nawet figi,
 Wystawiając ich kształty, kwiaty i lodgi,
 Tadeusz nie przestawał dąsać się i zmycać,
 Na koniec nie mógł dłużej od gniewu wytrzymać.

I potem, drwiąc z zamiłowania do roślinności egzotycznej mówi:

Czyż nie piękniejsza nasza poczciwa brzezina...
 Która, jako wieśniaczka kładzie płuce syna,
 Lub udomia męża, ręce zalamie, roztoczy
 Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
 Niema z żalu, postać jak uymowanie szloch!
 Czemuś pan Hrabio, jeśli w malarskie się kocha,
 Nie maluje drzew naszych, pośród których
 siedzi?

Prawdziwie, będą z pana żartować sąsiedzi,
 Ze mieszkając na zynie, litewskiej równinie,
 Malujesz tylko jakieś skały i pustynie...

Otóż, panie Hrabio, czyli panie Tymonie: zarucam projektodawcom Żelazowej Woli, że układając w tym parku płyty cementowe, murki i estrady z kolorowych cegiełek, stawiając kunstowne pergole i pstrę mostki, betonowe ocebrowania i schodeczki — zaszczylił maozowieckiej równinie w sztuczny sposób właśnie owe „skały i pustynie”... A czy nie uważa pan, że Chopin, tak samo jak Mickiewicz, uwielbiał przyrodę polską i czuł jej swoistość? Czy pamięta pan, co Chopin pisał w liście do Tytusa Woyciechowskiego: „Jakąś tęsknotę zostawiły mi twoje pola. — ta brzoza pod oknami nie może mi wyjść z pamięci...”

T. T.: Chciałbym na tę argumentację uczuciową i bardzo gorącą odpowiedzieć raczej chłodno. Najpierw przypomnieć fakt — truizm botaniczny — że flory specjalnie znamiennej dla Polski nie ma. Owa brzezina, o której pisali Mickiewicz i Chopin — może nie jako o brzozie, ale o widomym znaku lirycznym, o jakimś materialnym miejscu i przedmiocie, skupiającym i wywołującym nostalgię (stany takie wstrząsająco przedstawiał Żeromski) — owa brzezina razem z wierzbą jest właściwa olbrzymiemu terenowi od Morza Śródziemnego do granicy wiecznych lodów. Jak z tą brzezina, jest zresztą i z innymi roślinami. Mickiewiczowska leszczyna, jak „menada z zielonymi berły” jest rodem z Kanady, z kanadyjskich Gór Skalistych. Jarzębina „ze świętym pasterskim rumieńcem” jest właściwa Europie, Azji, Ameryce, Afryce, a pochodzi z... Grenlandii. Więc poetyckiej egzaltacji wygnaniej, tak poruszającej i tak zrozumiałej, nie potrzebujemy brać dosłownie. Raczey możemy objąć radością wolnych wszystko, co chce pięknie rość na polskiej, wolnej ziemi. Rozgrzałem się od temperatury pana... Nakazuje sobie temperować.

WIELKI WYBÓR
J. Miodkowskiego
 ul. Krzyży 18, Marszałkowska 92.

W. H.: Właśnie ta trzeźwa pańska estetyka nowoczesnego parku jest teoretycznie bardzo interesująca — ale my naszej sprawie nie możemy rozpatrywać wyłącznie pod kątem botaniki i wyższej nauki ogrodniczej. Silny element uczuciowy jest tu nieodłączny; zbyt potężna więzy emocjonalne łączą naród z postacią Chopina. Cokolwiek pan powie o pochodzeniu drzew, będą mimo to twierdzić, że określenie „polskie drzewa” nie jest określeniem bez treści, ale ma głęboką treść: powiedzmy duchową.

T. T.: Na pewno nie ma treści merytorycznej. Ma ją inna zasada, przed chwilą przeze mnie uczuciowo sformułowana. Jest terenowy polskiemu właściwy pewien typ zestawienia roślin: obok dawno zaaklimatyzowanych przyjmują się tu nowe, np. topola włoska, która zaszła do nas około 200 lat temu, razem z kasztanem.

W. H.: No, więc proszę: kasztan i topola włoska — to według pana drzewa za-

klimatyzowane w Polsce, według mnie należą one do typowego naszego pejzażu. Te więc i podobne drzewa powinny tworzyć park w Żelazowej Woli, który stał się egzotyczną fantazją architekta, amerykańskim eksperymentem nowoczesnego stylu, co się dopiero wykluwa, i to na uświęconym i dla każdego Polaka tak wzruszającym czcigodnym skrawku ziemi! Nie potrzeba więc sentymentalnym marzyć, aby patrzeć z gorzycą na dzisiejszy „atonalnie kwitnący” stan Żelazowej Woli, wspomnieć tę grudkę ziemi, którą Chopin zabrał z sobą wyjeżdżając z Polski na stałe, a którą rzucano mu na trumnę...

T. T.: Pan myśli zbyt emocjonalnie.
 W. H.: Tak. Bo inaczej tu nie mogę myśleć. Nawet ten typowy nizinny krajobraz sochaczewski, który się ciągnie zaraz za parkiem, postarano się jak najstarszemu ogroduścić wysokim murem.

T. T.: Razi pana mur... Myślimy realnie. Przecież to rezerwat. Czyż można nie podkreślić, że to rzecz nietykalna, nie bronić pasania krów i pędzania gęsi do kąpiółki? Trzeba było zapewnić ciszę godną tego miejsca i potrzebną temu miejscu.

W. H.: Są sposoby odgradzenia terenu bez zasłaniania widoku, jak to się np. w nowoczesnych ogrodach zoologicznych stosuje: za pomocą żywopłotów, zamaskowanych rowów. A co do tej „ciszy” — to niepokój motywów i barw tego parku i tych cegiełek przeżył pojęciu ciszy. Zresztą przecież tu mają być masowe festiwale, więc jakże możemy mówić o ciszy?

T. T.: A jeszcze co bym miał panu, panie Witoldzie, zasądzić do zarzucenia: że pan nie docenia swoistych kategorii tej sztuki rzadkiej i dziwnej, jaką jest monumentalna sztuka ogrodowa. Uoiłowałem tego dowiedzieć, gdyśmy mówili o rekonstrukcji i konserwacji w zastosowaniu do niej. Zda się panu, że te pewne rośliny są tam, bo tak chciał kaprys artysty-ogrodnika, a one stanowią wątek, materiał dla kompozycji ogrodniczej, jak farby dla malarza.

W. H.: Farby moim zdaniem złe!

T. T.: Trzeba jeszcze dodać jeden moment: czwarty wymiar tej sztuki — czas. To dzieło nie jest jeszcze gotowe: trzeba miesiecy, lat, aby murki okryły się pnąciami, zbladły kolory, urosły drzewa, zamknęła się, doszła do pełni wyrazu kompozycja.

W. H.: Dla sztuki ogrodniczej mam najwyższy szacunek, ale moim zdaniem tu ona została najfalszywiej zastosowana. I wyobrażając sobie najbujniejszy rozrost i pacy-

nę, jakie przyniesie czas temu ogrodowi botanicznemu w Żelazowej Woli — nie pozbędziemy się nigdy przykrego uczucia bezgranicznej obcości, jaka tu nas ziębi na każdym kroku.

T. T.: Pan myśli czysto negatywnie. Zdamy sobie zgodnie sprawę, że obecny stan Żelazowej Woli nie odpowiada panu, a nie przeciwstawia pan wizji własnej: co by to miało być, jakie miałyby to być. Nie może być to, co było, bo tego już nie ma. A choćby nie minęło — nie odpowiadałoby idei przeznaczenia tego miejsca, które jeśli nie ma być polskim Bayreuth, ma być świętym miejscem muzyki polskiej.

W. H.: Oto moja „wizja”, a na pewno nie tylko moja. — Należało dać Żelazowej Woli taki wygląd, jaki by najgłębiej odpowiadał pielgrzymującemu do tego miejsca Polakowi. (Bo tu pokutowała i ta myśl, aby zaimponować zwiędzającemu cudzoziemcowi i to zaimponować cudzoziemczyni). A więc nie narzucać zwiędzającemu mimowolnie sugestii, że Chopin urodził się jak magnat. Odstawiając oficynę w jej pierwotnym stanie i dokoła niej, możliwie najwerniej — według rytmu i tradycji — stworzyć polski w charakterze, skromny ogród zaściankowy z początku XIX wieku; a co mam na myśli, mówię „polski”, to już teraz chyba wiadomo. Ogród, w którym byłoby romantycznie, swojsko, w którym wszystko byłoby znajome, bliskie, niekunsztowne, proste i przez to wzruszające — doborom, zestawieniem i rozplanowaniem ścieżek, ruczajów, kwiatów, krzewów, drzew. A skoro już Komitet postanowił urządzić tu miejsce masowych zjazdów i głośnych festiwali, to mógł ostatecznie obok tego małego, zaciężnego rezerwatu, o którym mówię, założyć teren festiwalowy, jakiś swobodny, nowoczesny stadion, i tam rozpętać fantazję ze wszystkimi kolorowymi cegielkami, z imitacją nawet dzungli i kolibrami w złotych klatkach. Izdebka, w której urodził się Fryderyk, sprawiałaby z pewnością wielkie wrażenie, gdyby się do niej szło przez rzewnie proste, sielski ogród, żacie, ganek i sien. Przecież w całym świecie miejsca uświęcone przez genialnych ludzi otaczane są pietzstwem, który — mimo że rozbudza także swoisty snobizm turystów bedekerowskich — ma głęboki, wewnętrzny sens. Jest w tych miejscach jakaś autentyczna aura wielkości, która niekiedy dreszczem przejmując i szerzej wznusza nie zblazowanego pielgrzyma. W Żelazowej Woli tę aurę — nie waham się tego powiedzieć — tę aurę szopenowską w kunsztowny, u-

czony, botaniczny sposób — sfalszowano, może na zawsze.

T. T.: Pomijając już fakt, że koncepcja pańska jest spóźniona, nie wytrzymuje moim zdaniem krytyki ze stanowiska estetycznego, jest ona przede wszystkim nieogarnialna, stawia przegrody między tym co się czci, a miejscem kultu. Ponadto, gdyby ją chciał urzeczywistnić, stwarzałaby liczne trudności artystycznej natury. Ponieważ nie ma polskiego stylu ogrodowego, a z dawnego, skromnego parku w Woli nie zostało, musiałyby się rozstrzygnąć, w jakim stylu ma być ten rezerwat szopenowski. Czy w stylu francuskiego strażonego parku, czy parku angielskiego, czy okropnego Pretzelstilu, w stylu „obwarzanka”, którego pełno po naszych miejskich ogrodach. Bo romantyczny ogród zaściankowy to jest kategoria nie istniejąca, imaginacyjna. Myśli pan pewnie o ogrodzie w Panu Tadeuszu. Ależ to jest po prostu wariety! Cokolwiek by się zrobiło, żeby tę upragnioną przez pana zaściankowść, zaściankową romantycyzm wywołać, byłoby właśnie udaniem, fałszerstwem, zatem brzydota. Ten wygląd, jaki Żelazowa Wola ma obecnie, postanowiono jej nadać po długich naradach, w których brali udział muzey, plastycy i literaci. Postanowiono z miejsca urodzin Chopina uczynić pomnik czci i miejsce zbiorowego kultu. Tak ukształtowany teren, aby w nim historyczna oficyna stanowiła akcent osrodkowy, wyniesiony materialnie i nastrojowo, oprawiony jak relikiwa w jubilerską robotę pieczołowitymi rękami współczesnego artysty-ogrodnika. Związano ponadto z miejscem urodzin, miejsce spoczynku wiecznego — w przyszłym mauzoleum, oraz przestrzeń dla festiwali, miejsce, na którym będzie się ponawiała sprawa najdroższa życiu tego, który się tu urodził, sztuka najdłużniejsza i najpiękniejsza — muzyka. Powstała w ten sposób monumentalna kompozycja przestrzeni, logiczna, harmonijna, wracając do raz użytego obrazu: nad miejscem, gdzie Chopin utworzył się, wspięło się sklepienie naszej religijnej czci dla niego. Według mego przekonania i Komitet i twórca ogrodu dokonali wielkiego czynu artystycznego: stworzyli ogród-pomnik, o ile wiem, pierwszy tego rodzaju w Europie, godny Chopina, wielkiego nowatora i wielkiego, europejskiego artysty.

W. H.: Wszystko, co pan powiedział, brzmi bardzo pięknie, panie Tymonie. Jeśli się nawet zgodzić z całą pańską argumentacją estetyczną, pozostanie niezbitie jedno, że dzisiejsze urządzenie Żelazowej Woli odebrało jej całkowicie charakter *państwowej narodowej*, a zrobiło z niej już tylko urządzenie „ku czci”. Czy jest słusne takie likwidowanie pamiętek narodowych?

Park w Żelazowej Woli jest dzisiaj pomnikiem-ogrodem „ku czci”, ale bez żadnego głębszego związku z indywidualnością artystyczno-narodową Chopina — i tu tkwi nietykany i nonsens, tym gorszy, jeśli miałby dojść do skutku fatalny, nieomal świętokradczy pomysł umieszczenia tu wiatrołomu mauzoleum z prochami twórcy Polonozów!

Zarzut pański, że rozumuję „emocjonalnie” nie są w tym związku rzeczowe. Tu się nie dyskutuje nad racjonalnym urządzeniem spalarni śmieci, tylko nad wyrazem, jaki ma przybrać kult Chopina w miejscu jego urodzenia. A więc i argumenty nie mogą być matematyczne ani chemiczne, lecz muszą być humanistyczne, z zakresu kultury uczuć. Pańskie argumenty z dziedziny botaniki są ahumanistyczne. Perskie pochodzenie wiśni nie odbiera wcale polskości naszym sadom. Rośliny zdobywają idyngentny jak dawne rody szlacheckie. Decydują tu nie same elementy, ale proporcje i związki, w które one weszły z innymi elementami otoczenia. Pergole prof. Polkowskiego nie mają żadnego idyngentatu, są niegustowną wyjątkowo, typowym kwiatkiem w kożucha maozowieckich piasków. Nietak pejzażowy i... socjalny. Na swoich dziedziach to zawsze robiło wrażenie, że zlikwidowano Żelazową Wole Chopina, by stworzyć obcy park z szyldem Chopina. A obcych interesowały Żelazowa Wola „autentyczna”; o bywałeli Chicago nie zaimponuje; nabył drapacz na placu Napoleona!...

Nie, nie przekonał mnie pan! Za panem przemawia nowoczesna, pięknie wykoncypowana teoria, przeciw której całą siłą buntuje się moje odczucie!

1 Dialog wygłoszony przed mikrofonem Polskiego Radia.

MICHAŁ LERMONTOW

D E M O N

1
 Posępny Demon, duch wygnania,
 powoli mknął przez greszny świat,
 i, udręczony, przez ogólną
 wspomnienia dawnych, lepszych lat,
 tych lat, gdy skrzydła archaniola
 jeszcze nie splamili grzechu brud,
 kiedy, tykając ledwie czoła,
 komety uśmiech w dal go wołał
 i w lucznią przestrzeń wiódł:
 kiedy przez wiecznej mgły tumany
 patrzył, — poznania żądną, duch —
 na gwiazd wędrowną karawanę,
 naprawione w niustanny ruch:
 tych lat, nim jeszcze w piersi zgłuchł
 głos szczęścia, wiary i miłości:
 kiedy bezpłodnych nie znał mąk —
 i jad zwyciężenia, ani złości
 w bezstronim sercu nie zagościł;
 zanim wydany wyrok był:
 wieczność bez treści i bez celu...
 I jeszcze... i już nie miał sil
 na przyzywanie wspomnień wiełu!

2
 Dawnego szczęścia smutny zbieg,
 bezdomny błędził czasu tyle.
 Za rokiem rok, za wiekiem wiek
 mijaly w pustce, niczem chwile,
 jednakie wciąż, bez żadnych zmian.
 Nikczemnej ziemi nędzny pan,
 rozpiętniał grzech i myśli chore,
 lecz posiew mroku, brud i złość

nigdzie nie starły się z oporem
 i własnych rządów miał już dość.

3
 Nad Kaukazem duch wykłety
 ciemnymi skrzydły cicho wiał.
 Tuś pod nim lśnił, jak brzeg diamentu,
 Kazbeku osnieżony zwal,
 a w dole czarna i głęboka
 kryjówka drapieżnego smoka,
 Dariałka przepaść pośród skal;
 i dziła Terek się rozpętał,
 jak lioica, wzdęty pianą grzywe,
 ryczy, a plaki i zwierzęta,
 patrząc z wysoka na ten dzie,
 słuchaly głosu jego jali;
 i rozłożone kłęby chmur
 przez południowe szczyty gór
 na północ niosły się z oddali;
 milczących skal kamienny ród,
 mgłą tajemniczych chmur spowity,
 nad zmienną tonią wartkich wód
 pochylał mroczne swoje szczyty;
 i wskie okna dumnych bast
 patrzyły groźnie z śliskich głazów,
 jako olbrzymy dzierżąc straż
 u bram starego Kaukazu!
 Leciał dla tych zjawisk, rzek i skal
 uśmiech pogardy jeno miał,
 i nie ożywił dumnych lic
 cudowny świat, leżący w dole,
 i w chmurach nie znać było nic
 na obojętnym jego czole.

Przełożył JÓZEF ŁOBODOŃSKI

PION

należy abonować lub nabywać
 w kioskach i żądać go w czytelnikach, cukierniach i restauracjach

JAN BOLESŁAW OŻÓG

NOWELA ODZNACZONA
NA KONKURSE „PIONU”

L E S Z E K

Rzeka była zastawiona w tym miejscu groblą. Po wodzie czarnej (jak od namoczonych konopi) pływali duży, zdechły piskorz. Zosia nachyliła się i podebrawszy zgrabnie kijonka, wyrzuciła padlinę na trawnik.

Leszek wzdrgnął się. Żółty brzuch piskorza był jak splechacz ucimpanej żmii. Nad rzeką rósł krzak agrestu. Nie wiadomo, skąd się tu wziął i po co urosł. Leszek zszedł ku niemu na dół i wyszczytywał listki. Wkładal je sobie do ust i obgryzał zębami. Niecierpliwił się i dlatego chwycił się tego agrestu.

Wtedy właśnie Zosia skończyła pranie chust i wyprostowała się na grobli, popuszczając sukienki na brązowe listy otrzaskane wodą.

— Lesiu, pomóż mi wystawić ceber.

Przechylał się i ujął naczynie za jedno ucho. Wytnieł chusty na murawę.

— Którędy pójdziemy, Zosiu?

— Na cmentarz.

I znowu pochwycił ceber. Przeszliznęła się przez żywołot z leszczyny. Naokoło krzyżów i dziwian nagrobnych rosła wysoka trawa i koniczyna w różowych galcach. Leszkowi zdawało się, że koniki polne oszalały z radości w gęstej koniczynie. A to był cmentarz. Kapustniki zlatywałą na mogiły i krzyże jak bibułki brzoźowej kory.

— Dziwne! Jak to się trzęsie ta koniczyna od świerkania! — krzyknął.

Szły szybko, tylko się im ceber pękał, pełny mokrej bielizny hojdał w rękach. Pod kościołem zerwało się z lipy kilka kawałków, zalopotało lotkami i odleciało na Buczkową czereśnię. Na plebani ziemniaki zakwitły.

Leszek uważał sobie:

Jest jeden dzień w roku, kiedy kancelaryjne koperty, papier do owijania świec i obrzynki skórzane klekają akacyjnymi kneblami w dna moździerzy radni gminy Nienadwołni. Strzela wójt, strzela pisarz. To Wielkanoc! Wtedy zaczyna się wiosna. Najpierw kościołowi spada po dachu ostatni śnieg. Wygląda to, jakby kościoły (Dobrzańskie) zwała przez rymy północne wszystkie kławięz po starych organach, leżących na strychu (kolo sygnaturki). Potem tają rymy wschodnie a u bram pachnie nadgnia kreda zgubionych jesienią i podeptanych w procesjach obrazków. Potem jesiony prezentują pojedynczym cegłom parkanu czarne pączki, twarde jak noski piesków. Dopiero kiedy ziemia zaczyna buchać trawą i miódunkami, wchodzi ksiądz dziekan pod kościół i czyta z małej czarnej książki. Leszek pamięta, że sam zaszedł wiosną do ogrodu kościelnego, aby szukać w trawie fiolków a później różnokolorowych lupin ptasiach jakę, które spuszczał wiatr z samotnych wisien i lipy.

Już byli u wrot organistówki. Ceber całym ciężarem odpoczął na lawie pod okapem.

— Już, Lesiu. Może sobie teraz urwisz wiśni w ogrodzie?

— Wiesz, kiedy indziej.

Otarł rękawem czoło i ropotal jagody gdzie tylko mógł: do gęby, do kieszeni i do kapelusza. Kapeluszu zawiesił w gałęziach jak wronie gniazdo.

Gdy Les zszedł z plotu i zdecydował się odejść do domu, robiło się młdo polom.

Nieobeklon pelgal jak motor ciężarowego auta a wierzchołki wisien i grusz, tkwiących w szkarfach po obu stronach szosy, uginały się pod zwiedłym wiatrem. Więc Leszek zszedł środkiem gościńca. I stawał kroki duże. Wymijał cmentarz. Słońce prażyło mu głowę, bo w słomianym kapeluszu niósł ładunek wiśni. Zmęczył się bardzo. W rowie rosły w bliskości czyjegós plotu dzikie róże, zeskoczył więc z drogi i legł na szkarpie, oddychając z ulgą. Róże zapachniały mu w głowy jak siwice do prania albo jabłka. Po chwili zerwał się, potrąciwszy całą kępę marchewnika i pobiegł piachem i kurzem. Mijał akacje i zostawiał za sobą pękate, wypróchniałe wierzby, po których laziły pachnące, granatowe kantarydy (z długimi wąsami). Słupy telegraficzne raz cyrkaly jak koniki polne, to znowu buczaly jak zszerszenie albo trzmiele. Droga opadała ku dolinie. Było tu trochę melancholijnie.

Nagle — obdzierający listki uszu wrzask: — Przez czert-wone mo-o-orze-e!

Leszek drgnął. Za zakrętem biegił koń, kłapiąc kopytami jak kneblami moździerzy. Ukazał się już. Był czarny.

Organista Stach! Nagłym widokiem za-draskany, runął chłopcyna na oślep w rufę i w żyto. Wiśnie porosływały się po drodze.

W szalonym pędzie gnał obłąkany Stach Buczak. Bosymi nogami bił brzuch koniaczyni i wywijal rękami w furii. Wiatr rozrywał mu długą, siwą kądziel na głowie. Twarz nabrzmiała na fioletowo i płótnianka na rozdartej koszuli migaly tylko między drzewami jak charty.

Po chwili wnowu przeciągły rozgrzmot wbił się w niego jak cienki, rosyjski balnet: — Przez czert-wone morze! Przez czert-wone mo-o-orze!

Gdyby ktoś przechodził tamtedy pięć minut później, usłyszałby płacz chłopca, zgubionego w życie.

A organista szalał, bo ludzi nie było: wyszli w pole do sianokosów. Natarł koniem na zamkniętą bramę kościoła, a gdy — nie, puścił się grzywy, wyprzeżył ku tyłowi, a ogier wpadł na podwórze organistówki i zabił dziewczynę, gdy plukała chusty w balnet. Było to więc w sobotę. Buczak miał „napad”. I w dzień ten Leszek naprawdę ostatni raz pogadał z Zosią.

Leszek siedział na żerdzi plotu u drogi w różowej koszuli, granatowych spodniach i bez pończoch na nogach. Patrzył przed plac kościelny i widzi:

Z daleka czerwieni się na Buczakowym polu pełniutka czereśnia w sliwinie. Czuję czarne, jądrowe jagody. Kawki przelatują pola. Kraczą i im bliżej są czereśni, tym więcej jest w nich coś z wilg. Ile tkliwosci w ich kwileniu! Słodkie, soczyste jagody będą zrywały ptasie dzioby, Zosine jagody...

Leszka opadał smutek. Nagły i wielki jak niebo. To właśnie, które jest sroczkowe i spokojne. Pamięta ono to, o czym Leszek wspomina: o Zosi. Leszek pamięta także duże niebieskie oczy tej dziwnej dziewczyny.

Kiedyś, w niedzielę, wysłał go z zakrystii kościoły do organisty, żeby przyniósł klucze od więzy. Leszek wbiegł na organistowskę (a zaczynał deszczem) i zdziwił się trochę. Przez się trudno się było przepchać. Czyjeś panny sięgały przez głowę spodnie wierzchnie, obce bąby na otwartych skrzydłach drzwi wiszały przemokłe zaodziejki i przesunowaływały wysokie trzewiki. Organistówka stała się zbieraliarnią i gotowalnią dla całej wsi! Zawodzenia zszeczných deszczem, srebrniki śmiechów dziewcząt... Treba było tam kawalerów — uśmiecha się w myśli. Co śmiełsze popchały się do wielkiej izby i piszały po mienadowsku: — dyjsze! dyjsze! Leszek musiał przeciskać się przez ciepłe i miękkawe biodra nienadwołni. Znalazł się w pośrodku babinia, tuż przed organiscianką. Witając się z nią, dziewczki szepłaly słodko: — Jak się masz, Zosiu! Zdejmowały rzeszowskie chustki krosiaste, w czerwone i zielone szpaki, rozpywały gorsety, białe i różowe kaftanki, dyszały: — ale leje! Leszek widzi: Piersi im falują jak kajsające gęsi, policzki różowiają, oczy zielone, piwne i niebieskie lecą jak modraszki. Zosia jest najpiękniejsza i najsmuklejsza. Mieszca się między dziewczętą. Poprawiają sobie nawzajem włosy, uważają najwięcej, aby na głowie dobrze leżały grzebyki, mirt, perzyk biały i bratki. Żeby w kościele było ładnie. I cieszą się, cieszą...! Gwar rośnie. Słodki zachust, zapach mirtu i gorsetów, ciekawe wygląkanie z okien na drogę... Nareszcie Zosia robi ze zdziwienia duże oczy i sprostęga go, bierz

za rękę, tak wolno, nachyla się i pyta: — A, Lesiu, po co przyszedł?... Klucze? Chwileczkę... Jak to było wtedy pięknie! O słodka, wiosenna niedzielo... Obrazy przechodzą, jeden po drugim — wspomnienia. Leś czeka. Przechodzą już inne, nie zęcają się mocno, — zaledwie cienie, mgła... Niepokój Leszka wzrasta.

Przyłożył usta do żerdzi... Żyd Gros ukradkiem wraca z miasta z pustym workiem na plecach i pośpiesznie mija kościół. Organista huca na „Magnifikat”. Zajeżdża dwukonny wóz w siwych literkach i półkoszokach z surowej loziny. Przystaje u żelaznej bramy. Wysiadają kumowie, powolutku, z dzieckiem do chrztu w białych pieluszkach, — widzi wyraźnie, — a parobek wdycha u dysza powietrze i nie może się nadziwić, jak od organistówki pachną liście włoskiego orzecha...

Po niesporach komary brzęczą na miedzy jak podzrucane ręką niebieskie gwóźdźki a z kościoła wychodzą pod lipy kobiety w chustkach z jedwabiu i rzeszowskich pledach. Leś patrzy. Dziewczyny z goliymi głowami nasycają swój powrót mirtem; pachną muzyką; zobaczyły na żerdzi synka pami nauceycielki, — śmieją się do niego wygodnie, świeże pary oczu. Właśnie na czychis niedalekich żerdziach gra flet, basy i skrzypce.

Z kościoła ludźmi bulgoce ciagle. Ręce kobiet i dziewcząt szeszczały różuami burztynowymi i ze szkła koloru lnu. Gospodarze depcą w cholewach i niektórzy, młodzi, w tabaczkowych albo białych ubraniach i cholewach lśniących, strzelają z lipowych liści. Ciżba. Gwar jakby wezbranego miasteczka, a to jest wieś i dzieci w sukienkach! Chłopaki na bosaka gonią szosa, albo spychają się do rowów, sytych murawą i stokrociami. Jaka radość! A Leszek przytula oczy do świerkowej żerdki. Szlocha. A w oczach spazm lez — pierwszych, ogromnych.

— Zosiu! Zosiu! Nie ma cię? To ciebie naprawdę już nie ma? Czekał, czekał... Zosiu, wstań, przyjdź teraz na te żerdzie. Spójrz: oto nasza wieś! Idź teraz z kościoła... Patrz jakie to śliczne, Zosienko.

Od lip alei wielu ludzi leci na przelaz przez ogród organisty i z owa zgnania zabłąkane kury, tam gdzie pasą się trzy krasne krowy na spuszczeniach. Idzie wieś zobaczyć umarłą. Gdy jedzie szosa właśnie długa, przęgięta w sobie pocznowa fura, słychać, jak ktoś gra na recznej harmonii. Jakby czyjeś hieluśkie dusze wśród sadów koyalal i nymal nientulonym, ogromnym szlochem.

Leszek zaniósł się od placu. Dusił się i rozczewienił, przechylivszy się przez żerdź. Głowę mu raz za razem podrywało od tego szlochania.

Gdy pani kierowniczka Pienczakowa idąc na spacer zobaczyła syna przy kościele, uciezyla się bardzo.

— Lesiu, chodź-no tu.

A gdy się ten zbliżył, cicho o coś pytała. Leszek ciagle przeczył głową.

— Ogłndniemy ją, dobrze?

— Oh, dobrze, mamol! — zgodził się.

Zeskoczyli ze szkarpy przydrożnej i weszli na podwórze organisty.

Chalupa z podstrzyżoną strzechą, — drzwi jednoskrzydłone, — drwa olszowe ułożone kneblami do ściany komory, w komore wyznęte okienko — taka była organistówka. Jablonie znad dachu kładły cień przez próg na klepisko sieni. Podwórze zamieciono kolo progu było równe jak bosko w stodole. Stały kloce i pniaki do rąbania drzewa. Można było wiedzic:

Wychodzili już co smutniejsi i słabsi na

sercu z chalupy: grubarzowa i ta reszta. Grubarzowa miała półankową zaodziejwe, obrąbną czerwoną nicią i z fioletowego kaftanka powiewałą głową w kupce zalambęcych kumozek. Jablonie strzygły chrabęszczo nad tym nawiedzeniem. Pytel ruszał wąsami i bierzował czoło przed koślwym kolodziejem Słizem. Przytakiwał mu Słiz ogonyką kanią od słomianego kapelucha, aż cień jej ruszył mu parciąną okrywke i austriacki pas z mosiężnym dwuorłem. Na kloeu siedział niemowa, sąsied o dwa stajania, i twarz jak rumiany szkopek maczał w pogodnym cieniu. — Sródwiczecz głębszy jest teraz i siwszy, niż wszystkie we wsi stawy — pomyślała pani Pienczakowa.

Naraz wszystko zastępyło w osobliwej niemocy: baby w krasiatych spodniach, niemowa na pniaku, Pytel z fajką dymiącego mleka i jablonie z nimi zielone: drgnęło słońce. Piana promieni rnie w ścianę i zarumienilo ją jak gomółkę dla duszy. W tej chwili przęgnął się jedna cholewa na kamień Buczak z ciemnej sieni i mówił, a jakby o rosie wieczornej kosił trawę do bryczki jodlawej.

— Mogilo Zosina, obłozę twoje piaszczyste boki i kanty białą dachówką i posadzę jarzębinę w nogach!... Oh, czerwone morze! — Rozzalał się.

— Cicho! cicho! — musiano go uciezać.

Leszkowi robiło się straszno. Już wchodził przez próg wysoki, bardzo wysoki: ogromny ojciec cofnął się. Leś macza palec w kropielnicze z porcelany: W imię Ojca!

Trumna na środku izby chłodnej była biała i obrąbniona gwiazdkami złotymi. Wieko kwitnęło na lawce pod ścianą. Leszek ogarniał spojzeniem nieboszczkę. Leżała w białej, jedwabnej sukience i w welonie. Twarzyczka — jaka delikatna! — z zamkniętymi oczyma, — na mirtowej poduszeczce, — w palec rąk na piersi złożonych wetknięty obrazek. Wśród wazonów z mirtem, leżącym na lawkach z boku białej trumny, i pęków piwonii jarzyły się świece na lichtarzach.

Leś teraz coraz spokojniej na klepkach odmawiał matczyne pacierze. Słuchał. Naokoło chlępały gospodynie i matka Zosi i dziewczyny cisze. Ale jaki niemili przecięg przeciał mu pierś. Spojrzył na obrazcy. Ubrane w choinkę świeży i kwiatki z czerwonej i białej bielizy, pachniały. Więc wstał i podchodził do okna:

— Eadnie ustroiłaś sobie, Zosiu, izbę na swój pogrzeb. — Wdycha z szerokości framuگی okiennej zapachy ogrodu i żył ma w oczach. Pod szescepem stoi otwarta fisharmonia. Organista wyniósł ją z izby i teraz nie zawada nikomu. Klawiatura świeci białymi kostkami jak olbrzymi hiacent. Leś pojmuje, że trzeba się w tej chwili rozglądać coraz ciekawiej, bo coś się z nim wrybia, że leż nie może przytłumić: Pod oknem kolo krzaka róży — zielona woda w omszonym cebrze. W przycieciu, widzi, kwitnie słodkogórz. Na gałkach róży dostęga mrowki i chitynowe kulki wielkości ziarnek prosa. I poprez ten dziwny, piękny ogród i dal i te niedzięle nie już nie może dojrzec, nie nie może zrozumieć. Tylko cichutkie dzwonki pokrwylic i kosów zbierać.

— Zosiu, pomyśl, ja ci powiem, jak można leżec w tym mirtowym welonie, kiedy taka pogoda, — rzy świat jak koń u wodopaju, kos dzwoni w sliwinie, sternal dzwoni, kukulki gzą się w przęciagiu olch. Tak tu pachnie, taka pełnia zieloności i szeszczenia w czereśniach i w sadzie rozkwitłym, a ty nie wstajesz? Pełno dziewczyn po zaplotkach, parobcy wiokają w piosnkach, muzyka gra... Ach, nie myśleć o tym... Jakaż ty piękna, Zosiu, Zosiu...

Na niedzięle też jak na biały katafalk patrzył młody Pienczak. Nawiedzil ją, gdy plakali i nachylił gałąź czereśniową przy okno, aby skoszować jagod, ale świeża kosule poplamil tryskającym sokiem. I wyszedł z izby, unosząc na wieki obrazki Zosinej trumny.

— Teraz wszystko się kończy, Zosiu. Słońce zachodzi obok nas i amiołów-stróżów. Włókił się miedzą a potem ścieżką ku szkole. Za nim matka. U furki szkolnej, za którą u korzenia jabloni leżały z czasów wojny w blaszanych magazynkach zardzewiałe nohoje, obejrzał się jeszcze za siebie. Rosa wnikała w szmer stawu i traw. Dymil w tataraku zmierzach jak fajka pokoju niebia i ziemi... Leszek patrzył na żdźbła trawy i liście babki. Spozła leż słabo odróżniła lato-rośla lipowe od trawy. Ściemniało się: Co raz więcej komarów cisnęło się do wsi z podobnym bykaniem zmierzchu.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

FRANCISZKA ARNSTAJNOWA

ŻYWE KORALE RZUCAŁA W WODĘ

BRŃKÓWI MICHAŁSKIEMU

czemu jak kalina
nie mam korali!Wszystkie bym rzuciła,
wszystkie rozsypana

na twe zdradne wody.

byłe go oddały,

byłe się wróciło

jego życie młode

z twej fali!

Wierzba nad wodą
rozpuściła włosy,
gnie ramiona młode
z żalu.„Wisło zazdrozna,
któraś go zabrała,
mów, gdzie go schowała
twe fale!

Czemum nie dziewczyna,

MARIAN PIECHAL

O SANDOMIERSZCZYŹNIE

Pierwszą i może jedyną, jeśli chodzi o solidność opracowania i wyczerpującą wiedzę o przedmiocie, monografią Gór Świętokrzyskich jest wydany niedawno przez Wydawnictwo Polskie R. Węgnera w Poznaniu nowy tom z serii „Cuda Polski”, a mianowicie Aleksandra Patkowskiego *Sandomierszczyzna*. Albumowe to wydawnictwo cieszy się w Polsce od dawna zasłużonym uznaniem i poczytnością. Nowy tom potwierdza w pełni słusność tego uznania i poczytności. W pięknej literackiej formie informuje najzupełniej, choć dokładnie i wyczerpująco, o jednym z najpiękniejszych zakątków Rzeczypospolitej, ziemi umiłowanej Stefana Żeromskiego. Jest to jakby obszerna, ilustrowana oficie encyklopedia najnowszej wiedzy o tej ziemi, tak hojnie uposażonej nie tylko przez naturę, lecz i

huciska zagłębia staropolskiego, postacie „kretów” i „kuźniaków”, „gulonów” i „kaszkieciarzy”, — pierwszych pionierów uprzemysłowienia ziemi Piastów i Jagiellonów. Wyrasta piękna postać Stanisława Staszica, autora *Ziemiorództwa Karpatów i innych gór i równin Polski*, Fr. księcia Druckiego-Lubeckiego, H. Lubińskiego i innych mężów stanu Królestwa Kongresowego, pamiętających, że:

trzy rzeczy łączy kraj szczęśliwym czynią:
bogactwo, wojsko i rząd dobry.

I krzyczy z tej książki krzywdą, którą ziemiom tym i Polsce wyrządziły rozbiory i polityka zaboreza. Gdy czytam książkę A. Patkowskiego, tym bardziej umacnam się w przekonaniu, że rzeczą nas, współ-



KURHAN „SALVE REGINA” POD SANDOMIERZEM

przez historię. Książka mówi o terenach, włączonych w przeważającej swej części w obszar dzisiejszego na gigantyczną miarę zakrojonego C. O. P.-u. Spełnia się jakby w naszych oczach prorocstwo Stefana Żeromskiego w następujących jego słowach z *Wisły*, położonych przez Patkowskiego jako motto jego pięknej pracy: „Podjęte znowu zostanie dzieło Wielkiego Kazimierza. Ugną się swawolne nurty Wisły pod setkami tysięcy szkut i komic, bez przerwy, dzień i noc, darmo i szybko wiozących węgiel do Warszawy i Gdańska. Przyszłe życie Polski otrzyma za cenę pracy plemienia dwie potęgi: bezniaż węgla, dostawiany do miast i wsi przez rzekę, posłusznie pracującą w ciągu stuleci. Rozrosną się od tysięcy fabryk stare grody: Kraków, Sandomierz, Warszawa, Płock, Toruń, Gdańsk. Niewystarczająca a niewyczerpana masa węgla narzuci pracę pokoleniom, wyżywi i zubożyci prowincje”.

Tę „prowincję”, od prawieca bogato wyposażoną przez naturę i mającą być teraz zubożoną przez dzieła rąk ludzkich, opisuje szczegółowo Aleksander Patkowski, znawca jej nieposłusznego i miłośnik niezrównany. W swej przedmowie wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski powiada: „Przez szpalaty książki przewija się piękny obraz, otwierający dzieje ziemi, które były w dużej części historią Polski. Autor przedstawia tej ziemi niezapomniane postacie i przeżycia. Znajdujemy tu również ciekawe fragmenty historii gospodarczej. Stają przed nami dawne liczne rudy, harnienie, hut i

czesnych, jest co rychlej naprawić tę krzywdę. Jestem przekonany, że wznoszone dziś w Centralnym Okręgu hut i zakłady przemysłowe przejmą niezadługo tradycje świętynie ognia rozwijających się hut i hucisk świętokrzyskich, a dawne zagłębie staropolskie i żywna ziemia sandomierska będą w systemie naszego gospodarstwa narodowego nie tylko sercem w znaczeniu historyczno-geograficznym, ale również staną się nim w znaczeniu organicznym, ułatwiając przez swój rozwój i uprzemysłowienie żywą działalność gospodarczą innych części i dzielnic kraju”.

Sądzę, że przedmowa wicepremiera Kwiatkowskiego starczy za dość miarodajną recenzję wartości, jakie zawiera cenna publikacja Aleksandra Patkowskiego. Aby uzupełnić te uwagi, należałoby może podać w skrócie porządek i treść poszczególnych rozdziałów. Jest ich dwanaście. Pierwszy *Stara ziemia* kreśli początki geologiczne i strukturę tej krainy, jej geografii pierwotną, warunki klimatyczne, bogactwa mineralne, wreszcie florę i faunę. Drugi *Człowiek* kreśli rolę i historię pierwszych mieszkańców tej ziemi. Trzeci *Żywa tradycja* mówi o dorobku plemienia polskiego i świadomej jego pracy w ciągu przeszło tysiącletniego wladztwa nad tą polacją kraju. Czwarty *Zakonnicy i święte panie* opowiada o pracy kulturotwórczej kościoła i zakonów w dawnych latach. Piąty *Pod sklepionym Piastowskim* opisuje gospodarstwo rządów piastowskich w Sandomierszczyźnie, aż do wiekopomyńskich rządów Kazimierza



RYNEK W SANDOMIERZU

Wielkiego, o którym przede wszystkim w zastosowaniu do Sandomierszczyzny trzeba powiedzieć, że zastał ją drewnianą, a został muirowaną. Rozdział szósty *Renesansowe gody* charakteryzuje rolę oświatowo-kulturalną arystokracji i możnowładztwa tej ziemi. Rozdział siódmy *W ojczyzny potrzebie i służbie Marii* traktuje o szlachcie i rycerstwie sandomierskim dawnych wieków. Rozdział ósmy *Nastaly czasy saskie* wskazuje na spustoszenia jakich i tu dokonał ten najsmutniejszy okres naszych dziejów przed-

cznych w latach 1830 i 1863. Rozdział jedenasty *Spelniony sen o rycerskiej szpadzie* zdaje relacje o pracach oświatowych i niepodległościowych w Sandomierszczyźnie w czasach niewoli. Wreszcie rozdział dwunasty *Post scriptum* syntetyzuje niejako treść całej książki, wskazując na rolę i znaczenie Sandomierszczyzny w rozwoju Rzeczypospolitej w dobie obecnej i w przyszłości, mianując ją jej sercem i źródłem nigdy nieprzebranych bogactw materialnych i duchowych.



SANDOMIERSKI KRAJOBRAZ LOESSOWY

rozbiorowych. Rozdział dziewiąty *Partyzantka wolności* maluje pierwsze odruchy wolnościowe sandomierszczan przeciwko zakusom rozbiorów Polski. Rozdział dziesiąty *Na odgłos narodu* zdaje szczegółowe relacje o dziejach ruchów powstań-

Dokładna mapa i przeszło 200 doskonałych ilustracji zdobiących książkę uzupełniają treść i podnoszą niepomiarne wartości tej niezastąpionej i jedynej w swoim rodzaju publikacji.

MARIAN PIECHAL

„PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY”

Lipcowy zeszyt *Przeglądu Współczesnego* przynosi na pierwszym miejscu dłuższy artykuł prof. Kazimierza Tymienieckiego o początkach narodowości polskiej. Autor dostrzega pojawienie się ideologii narodowej w dziejach Polski bardzo wcześnie, na tle antagonizmu do Niemiec. Wywodzi, że „początek wieku XIV był właściwym okresem czynu. Nastąpiły zmagania wewnętrzne, które dały zwycięstwo obozowi narodowemu polskiemu i jego przywódcy, Władysławowi Łokietkowi, nad elementami słabo związanymi z tradycją i interesem kraju”. Znaczną a mało zbadaną rolę w kształtowaniu się idei narodowej w wiekach średnich odegrały t. zw. legendy uczone (*les legendes savantes*, w odróżnieniu od legendy ludowej), w jakie obfituje choćby kronika Wincentego Kadłubka. Jako źródło historyczne nie przedstawia ona dużej wartości; jeśli jednak spojrzymy na nią i na utwory pokrewne jako na literaturę publicystyczną, wychowującą w pewnym kierunku ideowo-

politycznym, wówczas uprzytomnimy sobie, że w dziele kształtowania się narodowości polskiej „zasługę, prócz wielkich wodzów i polityków, zdobyli sobie także ci, którzy w ciszy klasztorów wypracowali zręby nowych idei”.

Poza rozprawą prof. Tymienieckiego lipcowy *Przegląd Współczesny* przynosi kilka zajmujących przyczynków historycznych (X. M. Godlewskiego o stosunku Talleyranda do Kościola; J. Krzesławskiego o powieści z życia studentów warszawskich z ostatnich lat ub. w.; prof. M. Handełmana charakterystykę księcia Adama Czartoryskiego, z daniem kilku listów znakomitego męża stanu, i in.). Uzupełnia ten zeszyt dokończenie zarysu biograficznego M. Prousta pióra Józefa Kowalskiej oraz ciekawy szkic Leona Hertza o „rewolucjach myśli”; dawniejszej, kopernikańskiej, która rozbiła średniowieczny obraz świata, i współczesnej, dokonanej przez Plancka i Einsteina, która wstrząsnęła podstawami determinizmu.

OGRÓD - KAWIARNIA **K. DAKOWSKIEGO** w Bagateli

jest najmiłszym miejscem spotkań elity towarzyskiej stolicy

KONCERT dwa razy dziennie - DANCING - COCKTAIL BAR - WYSTĘPY ARTYSTÓW



MACHOCICE. NA ZBOCZU RADOSTOWEJ

M. J. WIELOPOLSKA

ALITERACKA LITERATURA

O JERZYM STRZEMIĘ JANOWSKIM WSPOMNIENIE

Zmarł nienajmłodszy wiekiem, ale piórem i poglądem na świat najmłodszy polski literat, autor *Karmazynów i Żuliaków*, Jerzy Strzemię Janowski. Wyszła pierwsza jego książka w czasie jego 8-miesięcznej choroby — rozchwyтана w paru tygodniach; nie doczekał się drugiego wydania, będącego w druku, ani drugiego tomu: *Sarnie oczy wilcze gardła*.



JERZY STRZEMIĘ JANOWSKI

Nie miał ambicji literackich — to nie był człowiek, który by wynałazł sztukę pisania, gdyby jej nie było. Jemu wystarczyło opowiadanie — a zwyczajowo tylko, czy tylko odruchowo, zaczął po czterdziestce notować sobie co opowiadał, traktując to jako pewną formę ustnej narracji, udomowionej zawsze nazwiskami żyjących, uzgodnionej ściśle z prawdą przeżyć. Nie jako literaturę. Trzeba go było do pisania namawiać, naganiać i mierzaj Wojciech Stipczyński naganiał go: dlaczego nie pieszysz? — dajże coś! Brakło potem Wojciecha Stipczyńskiego — mniej pisał już Jerzy Janowski. Przyszła straszna choroba raka, męki niespotykanej siły, przyjmowane zawsze męcznie i z łagodnym uśmiechem — więc jeszcze mniej pisał, choć i w łóżku napisał kilka felietonów, i zasnął nagle w samą niedzielę wielkonoce.

Trudno rzec z ręką na sercu, że odszedł literat. To nie był literat. Powtarzam: pisanie u niego nie było sztuką, ale odruchem, było to stenogram i nie więcej, zanotowane opowieści ustnej, własnej, barwnej i przeżyte dogłębnie i stąd, w formie nawet stenogramu, mającej swoje oblicze i swój rytm. Jak dalece odbiegł od tego co literatura ostatniej doby daje, dowodem sukces, jaki uzyskała jego książka, pozabawiona zupełnie reklamy, wolna od zabiegów autorskich o rozgłos. Ludzie zanurzali się skwapliwie w nią, jak w świeżą, pachnącą, zieloną trawę, — a ci co autora jej znali, doszukali się w niej wiernego odbicia tej sylwetki pełnej żywiołowej wesołości i pogody, *enfant terrible* wobec wszystkiego, co sztuczne, naciągane i napuszone — łagodnego baranka w stosunku do stworzeń i do istot słabszych.

Mając parę groszy w kieszeni i biedę na ogół kłębnią, zabierał małe dzieci ubogie do cukierni na lody, gdy sobie nosy o szybę wystawową rozplaszczali — a w wiecznej był trosecie o bezdomne psy i koty, o los gołębi na warszawskich dachach...

Nie imponował mu nikt i nie nie zdołał wyprowadzić go z dezinwolontary i bezchmurnej pogardy dla wszelkiego snobizmu. Był pewnego razu na polowaniu u dobrych znajomych, którzy okazali zbytnią uniożoność w stosunku do zaproszonego dygnitarza. W pewnym momencie widzi, że

wynoszą krzesło wyszcielane i kładą je na sanie:

— A to dla kogo, Mikołaju, to krzesło? — pyta służącego.

— Pan dziedzic kazali zabrać dla pana prezesa, żeby miał na czym siąść w lesie.

Kiedy całe towarzystwo wyszło na taras, aby w saniach miejsca zająć, właściciel widzi, że niosą kanapę.

— Zwarował, Mikołaju? Na co ta kanapa?

— Dla pana Janowskiego, panie dziedzicu. Powiedział, że musi też mieć na czym siąść w lesie.

Bali się jego dowcipu, pozabawionego zresztą złośliwości — ale lubili go niezmiernie. Był duszą każdej zabawy — i w ogóle całe życie dla niego było zabawą i w chwilach, kiedy było dostojnie i rozkosznie, i w chwilach, kiedy było chłodno i głodno. To się czuje z każdej karty jego nowel i artykułów, choć umiał w nich zapłakać nad śmiercią przyjaciół czworonożnych, dyskretnie, w ściszeniu, a dojmująco.

Te śmierci, te rozstania z przyjaciółmi nie były przemyślanymi pointami jego utworów — kończyły się w ten sposób, bo tak istotnie było, bo wszystko pożegnał, bo wszystko utracił — więc, czy to była śmierć charycy, o której powiada krótko:

— weszła w moje życie Sasza...

czy to śmierć wierzchówki Izy, która

spojrzała nań jakby mówiąc:

— nie trudź się, Kochany!

czy porwanie klaczy Lalki przez kozo-

ków — czy opis śmierci piccola Frohnera,

„lekkiej i radosnej, jakby wychylił kielich

szampana za wszystkie nadzieje spełnione”,

czy rozpacz nad zgonem malutkiej fo-

teerki Folly, że „wyznoleńca ducha w rami-

nach wielkoluda (charta), którego wzgard-

ła, przelotna miłość ją zabiła, podczas gdy

pod drzwiami konał z uwielbienia do niej

mikroskopijny pinzerek i jamnik pokreco-

ny jak precel, oraz cały sznur świetnych ka-

waterów jej rodu...

czy westchnienie:

— może nie ma tak wielkiej różnicy między

przerazonym pieszczkiem konającej mys-

zy, a oszalalym z bólu i lęku wejrzeniem

jelenia. A może nawet dorównuje im w wy-

razie szporka w ołwie, żywcem w dymie

zastygła? Bolesnych paranteli (mówi Jan-

owski), miałem dojść później...

Otoż nie były to przemyślane pointy —

to były rozwiązania istotne, akord końcowy,

wypływający nie z zasad kontrapunktu, ale

z kolejności zdarzeń zapamiętanych i

przebolanych mocno. Te zgroza odnosi się

Janowski do czasów, kiedy mordował i kie-

dy nie stygła od strzałów jego dubeltówka.

— Nigdy dziecku na myśl nie przyszło

że można mordować dla przyjemności, czy

dla wyrobienia w sobie cełności oka i ręki.

Dowiedziałem się o tym od starszych, oni

kultywowali w całej czystości tradycję mor-

du — w ten krąg upajającej tradycji

weszłem i ja — planując pierwszą wspania-

łą myśliwą wyprawę... upolowanie myszy

w naszym krendesiu.

Ale okoliczności i rozkwiłań generalnych

nie ma w odniesieniu się Janowskiego do

świata zwierząt. Przeciwnie! Wynaga od

nich przyjaźni i rozumu dużo i doskonale

charakteryzuje ich zalety i wady.

— Jest jeszcze jedna kategoria koni —

kon automat. Zdawałoby się, że tylko mu

wrzucić 20 groszy do pyska, a on wyrzuci

ze siebie wszystko czego od niego żądają.

Z ZAGRANICY

Thassilo von Schaeffer dokonał nowego przekładu niemieckiego *Iliady i Odysei* Homera, heksametrem. Zaopatrzył te przekłady w przedmowę, która wprowadza w badania nad tekstami Homera, począwszy od szczytowego okresu Biblioteki Aleksandryjskiej aż po krytyczno-filozoficzne prace unuczonych wieku XIX-go i współczesnych (Willamowitz, Bethe i inni). Autor uważa, że spór o Homera uważać można za rozstrzygnięty, a przeświadczenie o zdecydowanej jedności obu eposów Homera stało się mniemaniem powszechnym.

Wśród czasopism zagranicznych zwraca uwagę duża ilość miejsca, poświęconego informacjom o polskiej kulturze — pięknie prowadzony dział kulturalny dziennika *Prager Presse*. Jedno tylko ale: o ile obfite są w tym piśmie wiadomości o naszej nauce — daremnie by w polskiej prasie szukać tak wyczerpującego i inteligentnego pomysła-

Spokojny, niekazitelnie posłuszny, dobrze wychowany, dbający jak nakręcony mechanizm o wygranie swego kuranta — słowem precyzyjny, bezduszny i niezawodny jak maszyna, o ile nie przymamy racji niektórym zwariowanym automobilistom, którzy twierdzą, że i samochód ma duszę. Moja Maryśka nie miała duszy. Była martwym odbiciem swoich nauczycieli...

Są też konie o dziecięcej, naiwnej, ośnianej duszy, pogodnej, raźnej, oddane człowiekowi *corps et ame*, myślące jego myślami, ale inteligentnie, swoiście, karnie i zarazem opiekuńczo. Takim był mój Eros. Przysiąc zań trzeba, że choć miałem bezmiar czułości dla moich koni, miałem też dżikie fantazje, więc konie poddające się im płaciły mi za miłość po królewsku...

Umiał Janowski rozróżniać sprawność stworzenia od sprawności, uległość od uległości, uczucie od uczucia. To nie ślepy bałwochwalczy, minoderyjny hymn na cześć wszystkiego co ma cztery nogi i ogon — to stosunek braterski, równy do równego, pełen tkliwości ale zarazem wyrównania i krytycyzmu.

Twierdził nieraz, że głupota zwierzęcia jest tak samo szkodliwa dla tegoż otoczenia jak głupota człowieka, ale że ma mniejszy zasięg, dlatego można być dla niej pobłażliwszym:

— Pomyśl tylko! ile zasobów głupoty swojej ma człowiek na wynos! ile jej wiecznie w książkach, w gazetach, w sztuce, w gadaniu, w polityce — poza tym że zamęcza nią całe najbliższe otoczenie, a zwierzę?! Dla siebie jest tylko głupie i w zasięgu najbliższych sobie istot tylko bywa utrapie-

niem. Ale utrapieniem bywa, to pewnie! Nie ma nic nieznośniejszego, jak np. głupi pies — dlatego właśnie, że spodziewamy się od niego rozumu, oczyszczonego z ludzkich naleciałości, jak poza, snobizm, interes.

Rzetelnie osądził Janowski stworzenia! — wszystko wrzalo w nim na ich krzywdę — nawet religia nie istniała dla niego, w przeważnej mierze dlatego, że dla niej nie istniało zwierzę, że zaprzeczyła duszy zwierzęcia, że głosiła jego niższość, a prymat człowieka.

Nie znalazł kompromisów. Gdy ktoś wysunął oklepamy frazes o „przyjacielu zwierząt św. Franciszku”, zadrzał w posadach:

— Przyjacieli?!... a jakże przyjaciel kiedy pochwała w Fioretich brata Jaluwa za to, że dla chorego bliźniego oderwał żywej świni nogę. Daj nam Boże, mówil ten święty, cały las takich Jaluwców! A niech go ogarnie las!

Myślę że mało który pisarz zamknął tak wiele ze swoich uczuć, ze swoich awersji i zachwytów, jak Janowski w swoich nowelach i artykułach. Cały z siarki i ognia, gwałtowny i nieustępliw, w miarę w gruncie rzeczy balsamicznej słodycz dla maluczkich i mnóstwo ustepliwosci dla ich wymagań i grymasów i z tej właśnie siarki i z tego balsamu powstawały opowiadania, które szybko oczarowały polskie rzesze czytelników, nawiądył do mniej siarzystej i mniej balsamicznej strawy, oraz mniej aliterackiej literatury.

Szkoda że skończyła się ta twórczość młoda i jedrna! Szkoda że skończył się ten człowiek.

M. J. WIELOPOLSKA

NIEGROŹNY „TAFJUN”

Sluchowisko Kazimierza Leczyckiego pt. *Tajfun*, nadane przez Rozgłośnie Wileńską dn. 4 bm., jakkolwiek nie stanowi poważniejszego osiągnięcia Oryginalnego Teatru. Wyobraźni, to przecież wzbudza zainteresowanie jako wyraz pewnych tendencji ozywianiajacy literaturę radiową. Coraz liczniejsze próby zdają się wskazywać na trwałe, przetrwanie tego co można by nazwać impresjonizmem tego najmłodszego gatunku literackiego. Literatura radiowa w początkowym okresie była nastawiona głównie na dostarczanie odbiorcy bezpośrednich wrażeń słuchowych, co tłumaczy się wyszukaniem i sprawdzaniem nowych środków ekspresji artystycznej, jakie otworzyły się przed nią z chwilą jej wkroczenia do studia radiowego. Do niedawna jeszcze trwały niewzruszone, zdawało się, przekonanie, że sluchowisko nie może zawierać jakiejś głębszej problematyki poza-artystycznej. Ze jego treść musi być możliwie prosta i jednoznaczna, nie obciążona niczym, co by hamowało i rozpraszało strumień wrażeń czyste sluchowych. Autor *Szuby* pokusił się o przezwyciężenie tego kanonu: stworzył sluchowisko „z problemem”. A choć próba jego nie dała najpomyślniejszego rezultatu artystycznego, cenna jest przez to że stanowi ambitne usiłowanie rozszerzenia horyzontów mikrofonu w kierunku tych rejonów, od których dotychczas autorzy radiowi raczej stroniłi.

Najważniejszą wadą tego typu sluchowiska jest najczęściej brak organicznej

więzi między ładunkiem ideowym i losami bohaterów. Nie uniknął tego i Leczycki. Dialektyka ideologiczna tylko wtedy w utworze literackim posiada prawdziwą siłę przekonania, gdy jest funkcją charakterów i dramatycznych spięć między ostro zarysowanymi indywidualnościami. Tymczasem w *Tajfunie* mamy raczej stosunek odwrotny: konflikt Melarda i Oyaszi jest tylko „ilustracją” problemu, którego rozwiązanie zostało powzięte przez autora z góry, niejako bez udziału i woli bohaterów.

Zresztą sam konflikt pozabwiony jest siły dramatycznej. Poszczególne etapy jego narastania, momenty zwrotne, zachodzą w licznych pauzach mocno rozczłonkowanej akcji. Dowiadujemy się o nich znacznie później, z relacji bohaterów, podanej w przypadkowych najczęściej rozmowach. Przykładem jest choćby nie przygotowane psychologicznie rozstanie obojga małżonków po pewnej dyskusji teoretycznej, którą sam Melard określa później jako „dyskusję kawiarnianą na tematy polityczne”. O tym rozstaniu, które jest przecież rzeczywistym punktem konfliktu, dowiadujemy się z ust Melarda w trakcie jego rozmowy z kapitanem okrętu, na którym redaktor „Głosu Porozumienia Narodów” wraca do Europy jako rozbitek życiowy i ideowy.

Osoby swych bohaterów ukazał autor w schematycznym i skąpm bardzo obrysie. Żadna z postaci nie prezentuje się nam jako zwarta, zamknięta w sobie osobowość. Jedyna Oyaszi ma w swoim charakterze jakieś rysy zdecydowane i prawdziwe. Przysiąc trzeba że aktorzy nie przyczynili się bynajmniej do uplastycznienia postaci sluchowiska, z wyjątkiem wykonawczy roli Oyaszi, która — w jednym zresztą tylko momencie — zdobyła się na przejmujący akcent prawdy uczuciowej.

Akcja sluchowiska została skupiona w kilku migawkowych epizodach, przedzielonych prawdziwą pustynią czasu. Pozabawione na ogół dramatycznego napięcia i wyrazistych konturów, rozciągające się ciągle w teoretyczne rozważania na temat współżycia ras, sceny te są raczej odbłaskiem działania bohaterów niż żywą grą indywidualności. Ujęcie reżyserkie poszło w kierunku większego jeszcze rozczłonkowania akcji. Dłuższe wstawki dźwiękowe (muzyka na balu i odgłosy walki ulicznej w Szanhaju), słabo związane z treścią, niemal autonomizujące, wyraźnie rozbijały tok fabularny. Piękny gwizd sygnałowy statku, powtórzone kilka razy, był trochę przeciągnięty; odnosiło się wrażenie jakby reżyser pieścił się swymi udanymi osiągnięciami.

BAGIENKO I MIELIZNA „OLIVER TWIST”... CRUIKSHANKA

TEATR LETNI: *Kłopoty Bourrachona*, komedia w 3-ach aktach L. Doilleta. Przekład Bolesława Górczyńskiego. Reżyseria: Konstanty Tatariewicz.

Nie przypuszczałem, by autor *Kłopotów Bourrachona* znalazł dziecko doktryn społecznych XIX-go w. i pragnął choćby na najdalszym planie swej komedii ukazać jakąś historiozofię. Myślę raczej, że byłby prawdziwie zdumiony i zaskoczony, gdyby go ktoś nazwał sojusznikiem Karola Marxa, głoszącego całkowity rozkład zachodnio-europejskiej klasy mieszczańskiej i jej porządku moralnego. Środowisko drobnej burżuazji, w którego życie wtajemnicza nas Doillet z takim znanstwem i bezpośredniością, na wysokim poziomie stawia mi ład moralny. Jeśli jednak żywa treść tego mitu staje w sprzeczności z kultem pieniądza, stabilizacji społecznej i dobrobytu — zastępuje się ją surrogatem, konsekwentnym systemem pozorów, moralnością fałszywą, jak gdyby „sklasyzowaną”, skostniałą w wygodnych konwencjach. Śmiecie mieszczańskiego *homo oeconomicus* jest organem szczątkowym, nieomal tak samo jak wyrostek robaczkowy.

Baza moralna drobniomieszczaństwa ulega poważnemu zachwianiu, ale prawa go opodarcia kapitalistycznej są trwałsze. W operkach o stare i wypróbowane metody zbijania majątku długo jeszcze zapewne istnieje będzie apteka pana Bourrachona, choćby jego „kłopoty” rodzinne były storkoć większe. I w tym punkcie „historiozofia” Doilleta ma się najwyraźniej z historiozofią Marxa, który na przyszłość burżuazji i jej instytucji patrzył nieco pesymistycznie. Niezachwiany optymizm Doilleta jest zresztą niepokojący. Gdyby widział on swoich ludzi przez odwróconą lornetkę, można by uwierzyć przynajmniej w jego wielkoduszną pobłażliwość; wymieszenie punktu obserwacji można by uznać za prawo do szerszego śmiechu. Ale Doillet obcuje ze swymi ludźmi poufale i z bliska, nie wychodzi z przedpokojów ich mieszań, przez wszystkie dziurki od klucza zagląda do ich sypialni, zna na wylot zawartość ich kieszeni i portmonek, a przede wszystkim zna kodeks ewylny, mieszający w sobie bez reszty mieszczańską metafizykę.

Nie czuć zgłuznizny tego cuchnącego bagienka — to dziwny nawyk przyzwyczajenia, zrodzony ze współzależności i z tych smutnych figur i z ich ultrapraktycznej etyki, stanowiącej repertuar dowcipnych wybégów — to prawie nieprzychylność. Ale widzów ten beztroski śmiech chwilami ńuje, jest nieszczerzy, natrafia na różne opory. Widz chwilami odczuwa nietyk tej autorskiej zahawy, zwłaszcza że nie chodzi tu nierzadko o słabości i śmieśzności natury ludzkiej, subtelnie zauważane a nieszkodliwe, lecz o lajdactwa, o konformizm i hipokryzję, które w tej dzungli ludzkiej kwitną z niepokromioną bujnością. Smutne i odrzucające są te wszystkie „kłopoty Bourrachona”: „pocziwy pigularz” ani przez chwilę nie wydaje się sympatyczny, ani przez chwilę nie budzi współczucia — choć p. Znicz wszelkimi sposobami starał się skłonić do tego widza.

Szcześciem dla Bourrachona są wspaniałe dochody jego apteki; tylko dlatego zostawia we wszystkim swobodę swej pierwszej żonie, że mu to nie przeszkadza w rozbiciu coraz większego majątku. Gdy się dowiaduje, że żona go zdradziła z przyjacielem, nie cierpi nad jej wiarolamstwem i utratą przyjaciela, lecz martwi się przede wszystkim, że uszczupła się jego zarobki. Godziny sielanki małżeńskiej z Ireną upływają mu na kontrolowaniu cenników firmy konkurencyjnej. Nad całą historią Ireny i jej nieprawego dziecka przechodzi do porządku przede wszystkim dlatego, że znów pragnie mieć spokój w ramach tej powściągliwości, którą by z żalem porzucał. Taki jest ten „pocziwy Bourrachon”...

A inni? Irena Dumain ściele sobie wygodne gniazdko między mężem i kochankiem; jeśli będzie w przyszłości wierna żoną, to będzie to niejako pokuta za panięskie grzeszki. Henryk Mirquet ożeni się z córką państwa Bruneau i zrobia karierę w aptece Bourrachona, nie wyjawiając mu nigdy że był kochankiem jego żony i ojcem jej dziecka. Państwo Bruneau będą regularnie pobierać procenty od włożonych w aptekę pieniędzy, a po śmierci Bourrachona dostanie się im w spadku tyle, że wystarczy na posagi dla córek. Dr Vidal utrzyma swój *standard of life* erotyczny i będzie dalej preparował pigułki i proszki, przynoszą-

ce chlubę aptece Bourrachona. Nic, absolutnie nie zmienia się w tym światku, zamkniętym w niepojętej pseudomoralności — nie zmienia się także kłopoty p. Owidiusza; przybędzie ich tylko w związku z małym Wergiliuszem, w miarę jak będzie dorastał. Ovide Bourrachon, Virgile Bourrachon — spadkobiercy tradycji kultury klasycznej, imiennicy wielkich poetów starożytności, typowi przeciętniacy burżuazjni; to także mimowolna aluzja historiozoficzna Doilleta...

P. Znicz jako Bourrachon zabranął stanowczo za daleko w zakamarki psychologiczne swej roli; w jego aptekarsko-rodziny kłopotach za mało było cech czysto komediowych, a za dużo „prawdy ludzkiego serca” — zwłaszcza że serce pana Bourrachona jest wyjątkowo nieciekawe. Świętne sylwetki Celestyny Bruneau i jej męża Alberta, skłaniające się zdecydowanie ku farsie, dali pp. K. Szubert i Wanda Jakubińska. Nie wnieśli się ponad poprawność interpretacyjną pp. Z. Tatariewicz-Woskowska i J. Śliwiński. Poniżej tej poprawności znalazła się rola p. Żukowskiego (dr Vidal). Reżyseria p. Tatariewicza stereotypowa.

TEATR MALICKIEJ: *Na fali eteru*, komedia muzyczna w 3-ach aktach (4-ch odsłonach) Paul Leoné w adaptacji Leopolda Brodzńskiego. Muzyka Jerzego Ławiny-Swiętochowskiego. Reżyseria: Roman Zawistowski. Dekoracje: Stanisław Kurman.

W jednym ze swoich dramatów O'Neill zastosował oryginalny eksperyment sceniczny: po zakończeniu każdego aktu kurtyna podnosi się ponownie — wszyscy aktorzy trwają w poprzednich pozach, zastajemy ich niejako w tej samej co poprzednio sytuacji. Ale postaci sztuki przestali być sobą, zapomnieli o konfliktach, w których przed chwilą uczestniczyli, stanęli poza orbitą toczącego się właśnie dramatu i teraz zaczynają mówić o sobie i swoich przeżyciach jako ludzie z zewnątrz, jako świadkowie zdarzeń które odbywają się poza nimi i które komentują oni na własną rękę, przewidując przyszły ich rozwój, możliwe warianty tego rozwoju. Nurt dramatu zostaje zatrzymany, tworzy się coś w rodzaju żywego obrazu, intermezza refleksyjno-lyrycznego.

Podobny schemat (w miniaturze, oczywiście, skali) przyjmuje operetka typu operetki Leonógo. Każda piosenka solowa i każdy duet stanowią wyrwę w akcji, aktorzy gubią swe imiona z afisza; do głosu dochodzą anonimowe sentymenty, górę bierze biemienna lyryczka, nie związana z akcją sceniczną, lecz raczej z nastrojem ogólnym, z mdłą temperaturą uczuciową, jaką ekliwki banał wytwarza w „zbiorowej duszy”, wypełniającej sobą widownię. Powrót do sytuacji sceniczej, to powrót do izolacji, do integralności widowiska; piosenka — to najwyższy kontakt z publicznością, która — wzywana — chętnie podchwyciła refren, własnym sentymentom — uagle rozgrzanym i aktualnym — dałaby upust w śpiewie, który nie indywidualizuje, lecz na odwrót: łączy hr. de Dillon z tancerką kabaretową Grace Monti, stara służącą Melanią i przedstawicielem „światopoglądu powoniowego”, panem Patrikiem Duval. W komedii muzycznej poszczególne postaci nigdy nie zrzucają swej skóry, nie solidaryzują się z „szarym człowiekiem”; z widownią; toteż wcale nie byłoby dziwne, gdyby w najbliższych sezonach nastąpił renesans dobrej tradycyjnej operetki.

Utwór Leonógo jest złą kopią sytuacji w miarę popoliłtych i w miarę nieprawdopodobnych, w którym akcesoria współczesności sąsiadują z naiwną staroświecząnością artych rekwizytów i „spobobików”. Hr. de Dillon, jakiś Fogg francuskiej Rivieri, po lordowski traktuje swój honor i właściciela magazynu mód, z którego sypiał przez pewien czas; zakochany jest we własnej wychownicy, którą zrywcajem arystokratów oddał do szkoły klasztornej, gdzie kolegowala ona z Grace, obecną Ziegfield-girl. Ta wychowanka jest „dzieckiem tumułu”, a Patrik Duval, którego „nos stanowi życia sos” (cytuje dosłownie tekst jednej z piosenek), jest jej ojcem. Jak widzimy, melanz dosyć dziwny.

U Malickiej wystawiono operetkę Leonógo w reżyserii R. Zawistowskiego, zgrabnie lecz nie oryginalnie; dobrze grają pp. Ina Benita, Wierzejska i Stojowska, źle — pp. Sym, Kielarski i Nesterówna. Występuje na scenie również „woźny w radiofonii”; żeby było nowocześnie, proponuje go zmienić na „woźnego w telewizji”. R. K.

W grudniu ubiegłego roku na jednej ze stałych licytacji u Hodgsona sprzedano za 640 funtów 40 listów Karola Dickensa. Listy te, pisane w okresie 1837 — 48 do Cruikshanka, znanego ilustratora dzieł Dickensa, nabierają specjalnej wartości dla historyka literatury w obecnym okresie, gdy każdy rok przynosi setną rocznicę pierwszego wydania jednej z kolejnych powieści Dickensa.

Jest też obecnie w przygotowaniu zbiorowe wydanie dzieł Dickensa w 23 tomach, w tym 3 tomy jego listów (The Nonesuch Press, London). Ośiem wydanych dotychczas tomów spotkało się z wielkim uznaniem prasy. Komitet redakcyjny, w którego skład wchodzi m. in. Hugh Walpole, dając czytelnikowi korzyść wszelkich zdobyczy współczesnej techniki drukarskiej i wydawniczej, potrafił zachować dla niego także coś ze swoistego czaru epoki wiktoriańskiej, zamieszczając wszystkie oryginalne ilustracje pierwszego wydania, nad których wykonaniem Dickens zwykle czuwał osobiście.

Cruikshank był trzecim z kolei — po Seymourze i Hablot Browne — ilustratorem dzieł Dickensa. Pierwszą ilustrowaną przez niego książką był *Oliver Twist*, który ukazał się w wydaniu książkowym w 1838 r. Współpraca, rozpoczęta w 1837 — gdyż *Oliver Twist*, podobnie jak *Pickwick* przed nim, wychodził początkowo w formie zeszytów wydawanych co miesiąc — przekształciła się wkrótce w próżnię, jak na to wskazują wspomniane już listy. Pierwsze z nich rozpoczyna Dickens od zwrotu: „Szanowny Panie!” — ostatnie zaś od: „Kochany Jerzy!”

Cruikshank nie był sympatycznym ilustratorem. Świat, widziany przez pryzmat jego wyobraźni, wydaje się obrazem odbitym w krzywym zwierciadle. Ludzie i rzeczy nabierają dziwnego wyrazu, ulegają zniekształceniom i zalamanom, które wychodzą poza granice karykatury. Dziwną wydaje się rzecz, że Dickens mógł się zgodzić na podobną interpretację swych postaci. Nie tylko bowiem „czarne charaktery”, jak Sikes, Fagin czy Monks; nie tylko postaci komiczne, jak Bumble czy Noah Claypole, są podobne do karnawałowych masek, lecz nawet tragiczna Nancy, cnotliwa Rose Maylie, ba! sam bohater Oliver mają wygląd koszmarnych widziadeł.

Może jednak to właśnie, ta atmosfera niesamowitości, jaka unosi się z tych obrazków, zjednala im Dickensa. Niewątpliwie bowiem są one wyrazem nastroju, jakim jest przeżył cały *Oliver Twist*. Nastroj ten, na którego wytworzenie składa się w równej mierze sama epopeja cierpienia przesłanego przez los Olivera, jak teren na jakim się odbywają, ma ciężar i wartość atmosfery fizycznej. Jest w tym samym stopniu zapachem grzączącego dymu z kominika Fagina i ciężką wilgocią mgły w brudnych zaułkach Londynu, co poczuciem bezsilności więzionej przez Fagina Olivera i przerażeniem Nancy, gdy w oczach Sikesa zobaczyła swój koniec. Zgroza, popoliłty zwierzy strach, tak zrozumiały dla prymitywnej natury Dickensa. Zgroza, namacalny, choć bezpodstawny pozornie strach przed jakimś nieznanym niebezpieczeństwem, tak częste w snach wieku dzieciniego a tak dobrze znane Dickensowi, który nigdy nie przestał być dzieckiem. Oba te gatunki strachu są oddane w ilustracjach Cruikshanka.

Strach przed Nieznanym przeważa. Niedocność na tym — jest obecny, ma postać widoczną, zmaterializowaną. Nieznane jest nim tylko dla osób występujących w powieści, gdyż dla czytelnika-widza — ma postać Noah Claypole'a, podsluchującego rozmowę Nancy z Rose, lub postaci Monksa i Fagina, obserwujących przez okno śpiącego Olivera. Ilustracje są pełne — jak książka sama — etymologiami szepotów; oddalających się kroków wroga, unoszącego podsluchaną tajemnicę; cieni, padających od uchylonych drzwi; drzwi w podłodze, otwierających się tuż u stóp przerażonych spiskowców...

Poza wycuciem nastroju rysunki Cruikshanka miały jeszcze jedną cechę bliską i miłą Dickensowi: zaspokajały jego wczesny głód karykatury. Jest to jedna z najbardziej charakterystycznych właściwości talentu Dickensa. Satysfakcja, jaką mu sprawiło tworzenie postaci dziwnych, niecodziennych; możliwość wyczarowywania z niebytu istot takich jakie chciał, bez liczenia się z szablone światła rzeczywistego, a jednak bez przekraczania granicy prawdopo-

dobieństwa, — tworzenie karykatur, które były bardziej żywe niż prawdziwi, żyjący ludzie — była największą, jaką znał jako artysta. Była bez porównania większa, niż satysfakcja tworzenia postaci bohatera, która stała według surowych i uroczyście poglądów Dickensa na hierarchię postaci fikcyjnych miała wszystkie cechy i właściwości charakteru z góry ustalone raz na zawsze. Gotów był więc Dickens wprowadzić w krzywe zwierciadło karykatury Cruikshanka nawet Olivera, dziecko bez skazy — byle tylko akcja całego utworu mogła wyraźnie dla widza-czytelnika rozjaśniać się w niesamowitej atmosferze świata, zamkniętego w tym zwierciadle.

Trzy ostatnie ilustracje (Fagin w celi, Sikes i jego pies, Rose i Oliver) odegrały nieoczekiwaną rolę w dziejach współpracy Cruikshanka i Dickensa. Posłużyły one mianowicie do tego, by — w trzydziści dwa lata po swym ukazaniu się w druku — dać świadectwo prawdziwe w jednej z tych groteskowych plotek, jakie nieraz powstawały dokoła dzieł Dickensa...

Wkrótce po śmierci Dickensa Cruikshank nieoczekiwanie zgłosił pretensję do... autorstwa *Olivera Twista*. Dickens miał przyjść do pracowni Cruikshanka, przeglądał album jego szkiców, przygotowanych do odtworzenia historii bez tekstu, z pół godziny medytował nad obrazem, przedstawiającym Fagina w celi więziennej — i prosił Cruikshanka o zezwolenie napisania *Olivera Twista* według tych ilustracji! W ten sposób Nancy, Sikes — wszyscy byłby dziećmi wyobraźni Cruikshanka. Historia, napisana ze słów Cruikshanka przez Dr Mackenzie w amerykańskim piśmie *Round Table*, wolała sensację.

Forster, przyjaciel i biograf Dickensa, pełny oburzenia wysunął jako argument zbijający tę plotkę fakt, iż Dickens nawet nie widział trzech ostatnich ilustracji — w tej liczbie właśnie Fagina w więzieniu — aż do ostatniej chwili przed ich umieszczeniem w książce. List Dickensa do Forstera w tej sprawie nie pozostawia żadnych wątpliwości co do prawdziwości tego twierdzenia. Zawiera on również wzmiankę o tym, że Dickens prosił Cruikshanka o całkowite przerobienie ostatniego obrazka jako źle oddającego treść utworu. Fakt, iż Cruikshank — znany zresztą ze swych licznych pretencji do autorstwa cudzych dzieł — zaczął ze swym rewelacyjnym oświadczeniem do śmierci Dickensa, mówi za siebie.

Może lepiej zresztą, że tak zrobił. Oszczędził Dickensowi gorzkiego rozczarowania, zawodu w stosunku do przyjaciela, — Dickens bowiem bardzo cenil uczucie przyjaciela i bardzo w nie wierzył. Byłby rozczarowany, obraził się, pisał płomienne listy i sprostaował do gazet, — jak to robił w sprawie *Pickwicka* i rzekomego współautorstwa Seymoura.

Zupełnie zresztą zbyteczne. Jak mówi Chesterton o sprawie *Pickwicka* — twierdzenie że się poddało ideę Dickensowi jest jak żądanie uznania za dodanie szklanki wody do Niagary. Gdyby nawet widok jakiegoś szkieletu złodziejzaka londyńskiego namalował Dickensowi pomysł wprowadzenia Olivera w środowisko mętów społecznych, — cóż z tego? Czyż same przygody Olivera Twista, tajemnica jego pochodzenia, cała ta niezgrabna melodramatyczna akcja ma w ogóle jakokolwiek wartość artystyczną?

Mniejsza o to co dzieje się z postaciami Dickensa — ważne jest to czym one są. To, że w ogóle są. Że nieśmiertelne, niemowlę, niesamowicie żywe zamieszkuje teren powieści wszechświatowej i że z chwilą, gdy się uniesie okładkę książki, wychodzą na spotkanie czytelnika, tak rzeczywiste i niewątpliwie istniejące jak gdyby nie były wytworem wyobraźni i jak gdyby nie przeżyłoby się nad nimi sto lat metnej wody dziejów świata.

XENIA ŻYDOMIRSKA

KSIAŻKI NADESŁANE

TRYGVE GULBRANSEN: *...A lasy wiecznie śpięcej* — powieść. Warszawa 1938. Inst. Wyd. Renaissance.

QUAS (SŁ. KWAŚNIEWSKI): *Sposób na żonę*. Warszawa 1938. Sp. Wyd. Zjednoczenie.

WŁADYSŁAW MILCZAREK: *Liryzm Wołynia*. Równia 1938.

ROZALIA PAKOWSKA: *Polskie przekłady poematów Byrona*. Kraków 1938. skł. gł.: Kasa im. Mianowskiego.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
 Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Roman Kołowiecki

ZA WYDAWCĘ: Kazimierz Sowiński